

**Z poezji kazachskiej**

**Gały Kairbekow**

**PSZENICA**

Na dłoni ziarno pszenicy  
Lśni barwą słońca nareszcie.  
Step, który nie ma granicy —  
W tym ziarnie cały się mieści.  
Oto step leży na dłoni,  
Dał niezmierną od wieków,  
W małym ziarenku na dłoni  
Dostrzegłem wielkość  
człowieka.

Przełożył:

Jerzy Pleśniarowicz

**Stanisław Rams**

## PRZEŁAMANE BARIERY

**Z**YJEMY w okresie ogromnych przemian społecznych, przemian na miarę epoki. Jesteśmy świadkami fantastycznych wydarzeń, o których śniły pokolenia w ciągu minionych tysiącleci. Przyzwyczajaliśmy się do wielkich słów; nie zawsze dostrzegamy, że pod ich zaskorupiałą powierzchnią kryją się głębokie, rewolucyjne treści.

Często powtarzamy slogan, że socjalizm dał prawo do oświaty wszystkim ludziom, że stworzył w codziennej praktyce takie warunki, które w rzeczywistości, a nie w teoretycznych rozważaniach umożliwiają wszystkim warstwom społecznym korzystanie z tego przywileju.

Prawo do oświaty ponoć ma każdy człowiek również w innych ustrojach społecznych; oczywiście, gdy pozwolą mu na to środki materialne. W tym warunkowym trybie zdania czai się sens, który przekreśla owe prawo, zamienia je w błyskotliwą pułapkę.

Socjalistyczne stosunki społeczne łamią tę materialną barierę. Ba, drużąc wszystkie inne przeszkody, które by mogły utrudnić realizację owych praw. Dziś nikogo nie dziwi fakt, że niedawny analfabeta zagubionej wioski w bieszczadzkich lasach słucha w gromadzkiej świetlicy wykładu o teorii Einsteina, biologii molekularnej, trajektoriach sputników, plebejskim nurcie w polskiej literaturze średniowiecza, czy też o tym, w jaki sposób naprawić własny telewizor.

Słuchacz ma również prawo, aby wykładowca uwzględnił jego poziom intelektualny i udostępnił mu tajniki współczesnej wiedzy w sposób jasny, zrozumiały a zarazem — ciekawy.

Potencjalnie najbardziej masowym instrumentem w realizacji rewolucyjnego programu „Polska krajem ludzi kształcących się” są niewątpliwie uniwersytety powszechne, organizowane przez Towarzystwo Wiedzy Powszechnej. Aby w pełni pojąć i docenić ich społeczną przydatność, wystarczy wyczytać się w kolumny liczb statystycznych.

Z każdym rokiem wzrastają ośrodki popularyzacji wiedzy, powiększa się „zeszół” słuchaczy. Jeśli w 1956 roku istniało na Rzeszowszczyźnie kilkanaście uniwersytetów powszechnych, to po czterech

latach notujemy wzrost niemal pięciokrotny. Szeregi słuchaczy liczy się w tysiącach.

Dodajmy do tego fakt, że wszystkie tego rodzaju placówki powstały na wsi, że niektóre — jak Osobnica w pow. jasielskim, Rzędzianowice — w mieleckim, Łukawiec w rzeszowskim, czy też Jeżowe w pow. niżańskim gromadzą na wykładach przeciętnie blisko 200 osób. Na podkreślenie zasługuje rzecz, że przeciętnie są to głównie ludzie, którzy mają zaledwie wykształcenie w zakresie szkoły podstawowej, że ich uczestnictwo nie jest dyktowane chęcią otrzymania szkolnego świadectwa ułatwiającego start życiowy i służbowe awanse. Uniwersytety takich świadectw nie wydają, a ich absolwenci nie mają żadnych przywilejów.

Głównym bowiem celem kształcenia tutaj ludzi dorosłych nie jest pamięciowe opanowanie faktycznego materiału w określonej dziedzinie, lecz dostarczenie intelektualnej rozrywki, przyswojenie słuchaczom umiejętności samodzielnego myślenia. Naczelnym zadaniem Uniwersytetu jest budzić wielostronne zainteresowania, wychować człowieka rozumiejącego sens i istotę otaczającego go świata.

Program wykładów jest układany przez samych słuchaczy. Oczywiście dużą rolę odgrywa tu sugestia kierownika i wykładowcy. Czy to nie znamienne dla naszych dni, że człowiek od pluga i brony znajduje czas, aby co roku przez 5 miesięcy zasiadać na szkolnej ławie słuchając wykładów nieraz bardzo odległych tematycznie od spraw swego

zawodu? Jest on niewątpliwie bodaj najcenniejszym uczniem, jakich dotąd znały dzieje szkolnictwa.

Czy sieć uniwersytetów powszechnych jest dostatecznie zagęszczona w rzeszowskim województwie? Czy dostateczny jest stopień organizacji nauki? Czy pedagogiczne kompetencje wykładowców nie budzą żadnych wątpliwości? Na takie pytania Zarząd Wojewódzki Towarzystwa Wiedzy Powszechnej winien szukać odpowiedzi.

Towarzystwo Wiedzy Powszechnej działa na Rzeszowszczyźnie już więcej niż 10 lat. W pierwszym okresie jego działalność sprowadzała się przeważnie do akcji odczytowych w oparciu o materiały wydawane centralnie. Nie był to najlepszy okres działalności tej organizacji. Frekwencję często uzyskiwało się metodą administracyjną. Dopiero od 1956 roku następuje zasadniczy zwrot w pracy, przejście do organizowania w pełnym tego słowa znaczeniu uniwersytetów powszechnych — placówek systematycznego oddziaływania na stałych a nie przy padkowych słuchaczy.

Program wykładów wyzwolony z pęt rutyniarstwa, nudy i pseudo-politycznego pustostoiwa zyskał na atrakcyjności. Równocześnie z każdym rokiem polepsza się jakość kadry wykładowców. Już w roku 1959 na 91 kierowników tych uniwersytetów 18 posiadało wyższe wykształcenie, a 66 — średnie. Podobną ewolucję można zauważyć w kadrze wykładowców.

Obecnie większość kierowników

(Dokończenie na str. 2)

**Lestaw Forczek**

## Współczesność w nauczaniu literatury

Trudno sobie wyobrazić nowoczesnego, a tym samym postępowego człowieka, który wchodzi do samodzielne życie, nie byłby do tego miarowo najlepiej przygotowany przez szkołę. Jest rzeczą oczywistą, że w trudnym procesie kształtowania u młodzieży właściwego spojrzenia na świat, szkoła ma do spełnienia zadanie i niepoślednie, i nietłuche. Dlatego koniecznością stało się reformowanie zarówno programu jak i metod nauczania w szkołach podstawowych i średnich. Chodzi przecież o to, by młodzież opuszczając szkołę wykazywała się nie tylko ogólną znajomością problemów z różnych gałęzi wiedzy, ale również by samodzielnie oceniała zjawiska występujące w życiu. Jedną z dróg prowadzących do tego celu jest czytelnictwo, a ściślej mówiąc recepcja współczesnych dzieł literackich.

Spośród wielu zadań stojących przed szkolnictwem ta właśnie sprawa wydaje się nader ważna. Jeśli się przyjmie, że literatura jest odzwierciedleniem świadomości społecznej i wpływa na sposób myślenia, a nawet postępowania młodzieży, to jest rzeczą zrozumiałą, że należy uczniom przedstawiać współczesność utrwaloną w utworze literackim. W chwili obecnej szkoła ma po temu spore możliwości. Nauczycielowi literatury podano do wyboru szereg interesujących i najświeższych pozycji zarówno z literatury polskiej jak i obcej. Szkoła staje więc przed możliwościami pokazania młodzieży problemów współczesnej epoki utrwalonych w artystycznym kształcie dzieła literackiego.

Zaznajomienie jednak z problematyką utworu literackiego to jeszcze nie wszystko. Ważne jest też umiejętne wykorzystanie lekcji języka polskiego do kształtowania właściwego stosunku młodzieży wobec chwili obecnej, do nowych wartości światopoglądowych i moralnych. Trudno sobie przecież wyobrazić, by lektura np. „Losu człowieka”, „Cichego Donu”, Szołochowa, „Gron gniewu” Steinbecka, opowiadań Hemingway’a, „Samsona” Brandysa, „Pokolenia” Czeskiej, czy wreszcie „Piątki z ulicy Barskiej” Koźniewskiego nie urabiała właściwej postawy ucznia. A to jest sprawa pierwszorzędna w procesie nauczania i wychowania. Sięgając do utworów współczesnych można przecież uczyć szacunku dla idei humanistycznych, pokazać walkę ludzi z przeciwnościami życia i ich dążenie do wzniosłych celów, do lepszej przyszłości.

Wychowując młodzież, przygotowujemy ją do życia społecznego, w którym będzie uczestniczyć. I niewątpliwie od jej wartości moralnych, od jej postawy życiowej w dużym stopniu będzie zależała przyszłość całego narodu. Trudno dzisiaj stawiać na drogowskazy postępowania bohaterów ksiątek napisanych kilkadziesiąt lat temu. Nie żyjemy w czasach, gdy tylko romantyczni wieszczowie opanowywali serca i umysły młodych ludzi. W pojęciu ucznia te dawniejsze pozycje literackie to przeżytki przeszłości, które mogą urzekać pięknem, ale już nie porwują i nie pasjonują. Przeszłość literacka trzeba znać. Nie wolno przecież „deptać przeszłości ołtarzy, choć mamy sami doskonalsze wzniesić” — jak wskazywał Asnyk — ale dążąc do stworzenia nowych i doskonalszych wartości, nie zapominamy, że „do tych należy jutrzejszy dzień co nowych takną zdobyć”. Oprócz dawnych pozycji literackich trzeba dać więc młodzieży i obraz współczesności, w której żyje, z którą spotyka się codziennie.

I jeszcze jedna nieobojętna sprawa. Na tych „współczesnych lekcjach” języka polskiego będzie wiele okazji, by wyrabiać wśród młodzieży odpowiednie gusty i nawyki czytelnicze. Człowiek, który opuści szkołę średnią powinien przecież umieć sięgnąć samodzielnie po wartościową książkę i wiedzieć jak ją czytać, jak interpretować. Warto go tego nauczyć. Tym więcej, że po ukończeniu szkoły młodzież przede wszystkim czyta książki autorów współczesnych.

Nie można pominąć i tego faktu, że zreformowanie programu nauczania stawia nauczyciela w trudnej sytuacji. Nie ma bowiem podręczników, w których można by znaleźć materiały potrzebne do omawiania lektury. Z cenną pomocą w tym względzie może przyjść gazeta lub czasopismo, publikując artykuły dotyczące ciekawszych pozycji współczesnej literatury.

Warto zatem przełamać kurczowe trzymanie się tradycyjnych form nauczania, by uwspółcześniając program literatury, zbliżyć lekcje języka polskiego do życia.

Jacek Fischer — WSPOMNIENIE





## Kamienne muzy dla Rzeszowa

Zaplecze gmachu Państwowego Teatru im. Wandy Siemaszkowej od pewnego czasu przekształciło się w pracownię rzeźbiarską. Z ogromnych 7-tonowych bloków wapienia pińczowskiego dwaj krakowscy artyści: adiunkt Wydziału Rzeźby Krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych Józef Potępa i rzeźbiarz Józef Zięba wykonują według własnych projektów dwie postacie symbolizujące sztukę oraz głowę aktora z zsuniętą maską.

Rzeźby te będą ozdabiały fronton gmachu naszego teatru. Według przewidywań dyrekcji, prace te jeszcze w b.m. ozdobią nie- zbyt reprezentacyjną siedzibę rzeszowskiej Melpomeny.



Na zdjęciach: Artysta - rzeźbiarz Józef Zięba przy pracy.  
Foto: Kopec

Irena Kłak

# SZTUKA ZAPOMNIENIA

(Na marginesie wystawy prac amatora-plastyka Franciszka Swidra)

Życie nie zawsze jest akuszerem talentów. Zdarza się, że nawet jednostki obdarzone przez naturę wybitnymi zdolnościami artystycznymi nie natrafiają na grunt sprzyjający wszechstronemu rozwojowi osobowości i nie ujawniają swych predyspozycji twórczych.

Niekiedy do odkrycia zdolności artystycznych dochodzi pod wpływem tragicznych przeżyć i wewnętrznych konfliktów jednostki. Sztuka staje się wtedy dla twórcy ucieczką i zapomnieniem. Wyprowadza go często z kręgu kompleksów, nerwic i obsesji.

W niezwykle okolicznościach narodziła się w kwietniu 1959 r. sztuka rzeszowskiego stolarza F. Swidra, po samobójczej śmierci ukochanego syna. Z kosmaru bolesnych, bezsennych nocy nasyconych buntem, uragijnym wyrzekaniem na los i jałową modlitwą — wytrysła żarliwa, gorąca twórczość cierpiącego człowieka. Chore z tęsknoty za umarłym synem ręce ojca, uzbrojone w prymitywne narzędzia wyrwały z bezwładu drewna symbol swego cierpienia — „Ogrojec”. Ta pełna osobistego bólu płaskorzeźba stała się objawieniem nieprzeczuwanych umiejętności, które rozwijać zaczął jako 56-letni człowiek mając poza sobą ogromną część życia. Odtąd rzeźba stała się jego drugą naturą wypełniając cały wolny od pracy zarobkowej czas.

Prosto i nieporadnie pisana przez F. Swidra kronika dni po śmierci syna wprowadza w klimat bezpośredniego obcowania z tragedią, w gęstość cierpienia.

Cierpienie to poza wzmiankowanym „Ogrojem” nie uzewnętrzniła się jednak w jego sztuce. Twórczość F. Swidra jest pełna sielskiej pogody i spokoju. Najchętniej przedstawia on sceny z życia wsi widziane naiwnymi oczyma dziecka. Skłonność do tematyki ludowej tłumaczy się długoletnim pobylem na wsi, gdzie spędził twórcę dzieciństwo. Szczególne miejsce w tej tematyce zajmują zwierzęta i płacito domowe. „Karmienie drobitki”, „Kąpiel gęsi”, „Walka kogutów”, „Baran i owca”, „Kucle konia”, „Sprzedaż koni” — oto tytuły niektórych prac. Poza tymi tematami F. Swider przedstawia chętnie chłopów przy codziennych zwyczajnych zajęciach — przy ścinaniu drzewa, siewie wiosennym, zrywaniu jabłek, przy żniwach i przy budowie domu. Niekiedy przedstawia też chłopów w sytuacjach odświętnych związanych z obrzęd-

ami i zwyczajami ludowymi — np. w płaskorzeźbach: „Wiejskie wesele”, „Szopka” i „Ludowa kapela”.

Wszystkie płaskorzeźby związane z kręgiem wspomnień z dzieciństwa zwracają uwagę świeżością i bezpośredniością odczucia tematu, spontaniczną i żywiołową, radosną pasją tworzenia. Emanuje z nich atmosfera specyficznego ciepłego nastroju i pogody niczym niezakłóconego, spokojnego trwania.

W twórczości F. Swidra wyróżnia się przez swą odrębną egzotykę grupa prac przedstawiających dzikie zwierzęta, nosorożce, żubry i dziki. Nie brak sztuce jego także akcentów deformacji graniczących z groteską — czego przykładem są sceny: „Kłótnia małżeńska”, „Dziad i baba” oraz figurki wesołych wiejskich starców.

Franciszek Swider wypowiedział się przeważnie w płaskorzeźbie, choć ostatnio coraz częściej rzeźbi wolno stojące figurki („Lisonosz”, „Bazista”, „Kobieta z wagą”, „Emeryt wiejski”).

Pod względem formalnym sztuka ta tkwi w kategoriach naiwnego prymitywu. Obraz jej nie jest jednak jednolity. Obok różnorodności tematów obserwuje się różne próby rozwiązań formalnych. O ile forma dzikich zwierząt i ludzi w niektórych pracach jest monumentalna, syntetyczna, uogólniona i trójwymiarowa dając czestokrotnie efekt wysypywania się z tła przedstawionych figur, o tyle w innych pracach poczucie dekoracyjności i obawa przed pustą przestrzenią doprowadzają do swoistego pointy- lizmu faktury, do zdobienia przedmiotów i tła tym samym sposobem, co daje efekt ich integralnego zespolenia ale rozbiła formę. Twórczość F. Swidra cechuje miękkość i falistość linii oraz skłonność do stosowania centrycznej kompozycji. Na szczególną uwagę zasługują technika rzeźniania. Wszystkie prace wskazują na niezawodne wyczucie charakteru materiału, jego siły oporu i masy. Twórca zna i doskonale wykorzystuje zadatki kolorystyczne drewna. Różowe zabarwienie typowe dla wnętrza pnia staje się często w płaskorzeźbach jego drugim planem w stosunku do bielej pierwszego planu uzyskanego z białej powierzchni pnia. Ta logika konstrukcji płaskorzeźb jest duża zaletą sztuki F. Swidra. Cechuje ją ponadto racjonalizm i umiowanie życia oraz silny element epicki tak typowy dla naiwnego prymitywu.

## PRZEŁAMANE BARIERY

(dokończenie ze str. 1)

posiada cenzus szkoły wyższej, a wśród czterechsetnej rzeszy pedagogów są również ludzie z tytułami doktorów i magistrów. Werbuje się do tej pracy prawników, inżynierów, lekarzy, socjologów.

Wzrost atrakcyjności tematyki, radykalna poprawa kwalifikacji personelu nauczycielskiego a co za tym idzie — korzystne zmiany w sposobie nauczania, wszystko to zdecydowało o coraz większej popularności uniwersytetów powszechnych. Dość powiedzieć, że według przewidy- rycznego rozeznanie zapotrzebowań terenu w województwie rzeszowskim powinno powstać w bieżącym roku dodatkowo co najmniej 50 nowych uniwersytetów powszechnych. Porównując z ubiegłym rokiem oświatowym, stanowi to niemal podwójnie liczby tych placówek.

Jeśli uzmysłowimy sobie fakt, że najskromniejsze koszty utrzymania jednego uniwersytetu w ciągu pięciomiesięcznego semestru szacuje się na kilkunastu tysięcy złotych, łatwo narzuci się problem: skąd wziąć dodatkowo ponad pół miliona złotych? Tego rodzaju pytanie budzi wśród pracowników Wojewódzkiego Zarządu TWP coraz bardziej sceptyczne nastroje odnośnie losów i perspektyw rozwojowych sieci placówek w województwie.

Budżet centralny nie przewiduje żadnej uzupełniającej dotacji na ów cel, a Ministerstwo Oświaty proponuje: bierzcie przykład z Czechosłowacji. Tam zaledwie czwarta część ogólnych wydatków na działalność podobnych instytucji pochodzi bezpośrednio z kieszeni państwa. Reszta sumy — to pieniądze społeczne różnych instytucji, organizacji, zakładów pracy.

Wydaje się, że jest to całkiem rozsądna, realistyczna koncepcja materialnego zabezpieczenia oświatowej działalności uniwersytetów powszechnych. Już w latach poprzednich Zarząd Wojewódzki TWP starał się w praktycznym działaniu wykorzystywać potencjalne możliwości terenu, zawierając umowy z

gminnymi spółdzielniami oraz miejscowymi zakładami pracy. Przeważnie każda instytucja, fabryka, każda niemal większa organizacja, nie mówiąc o radach narodowych — dysponuje środkami finansowymi przeznaczonymi na rozwój oświaty. Dodajmy tutaj niedyskretnie; i tak często wyżej wspomniane sumy nie są wykorzystane w ciągu roku i automatycznie zostaną przerzucone na inne cele.

Byłoby rzeczą nierozsądną, całkowicie dziwną i niezrozumiałą gdyby zaszła konieczność pewnego ograniczenia rozwoju sieci uniwersytetów powszechnych na skutek braku finansowego zabezpieczenia. Na społeczne cele muszą znaleźć się społeczne pieniądze; problem ograniczenia się raczej do organizacyjnych umiejętności uzyskiwania funduszy, propagandy tychże placówek wśród ludzi odpowiedzialnych za rozwój oświaty.

Działalność uniwersytetów powszechnych to coś więcej niż systematyczne akcje odczytowe. Przy tych ośrodkach rodzą się różne zespoły artystyczne, kółka dramatyczne, amatorskie zespoły muzyczne, grupy miłośników literatury pięknej, filmu. Przy Uniwersytecie Mrowia rozwija pożyteczną działalność regionalny chór pieśni ludowych. W miejscowości Jeżowe od kilku lat istnieje i aktywnie pracuje zespół dramatyczny; słuchacze uniwersytetu organizują konkursy recytatorskie oraz inne imprezy kulturalne. Podobne imprezy miała duża tradycja przy uniwersytetach w Jasińcu Rościsłej, Nienadwocze, Świerchowej, Kamieniu. Społeczna ranga tego rodzaju kulturalnych inicjatyw jest tym większa, że najczęściej dzieje się to w rejonach kulturalnie zacofanych, opóźnionych — na dotychczasowych pustyniach kultury, wiedzy, postępu technicznego. Aby dotrzeć doń z powiatowego miasta, wykładowca musi poświęcić kilka godzin czasu: Dojazd np. ze Strzyżowa do Gwoźnicy Górnej wymaga użycia trzech środków lokomocji, pociągami do miejscowości Czudec, następnie autobusem PKS do Niebyca a stąd dopiero furmanką — po wyboistej 6-kilometrowej trasie.

Uniwersytety powszechnie — jak dotąd — rozwijają się jedynie w środowisku wiejskim. W miastach i miasteczkach Rzeszowszczyzny nie ma tego rodzaju placówek. Wyją-

tek, chyba stanowi Baranów Sandomierski czy Dukla, ale prawdę mówiąc — trudno w tychże miejscowościach dostrzec się cech urbanistycznych. Gdy zaś sięgniemy głębiej do listy słuchaczy — okaże się, że większość rekrutuje się z okolicznych wiosek, dojeżdżając na wykłady nieraz kilka kilometrów.

Skąd ten brak popularności uniwersytetów w środowiskach miejskich? Niewątpliwie poważną przyczyną jest tutaj brak większego głodu intelektualnych i kulturalnych rozrywek, silna konkurencja różnych szkół i kursów wieczorowych, czy też po prostu klubów, świetlic, kina, teatru, czytelnik, bibliotek oraz innych użyteczności kulturalnych.

Uniwersytety powszechnie nie wytrzymują tej konkurencji i każda próba ich organizacji na terenie miejskim kończy się fiaskiem.

Nie znaczy to chyba, że należy zrezygnować ze słuchacza miejskiego. Raczej trzeba dokładnie zanalizować przyczyny tego zjawiska, wysunąć praktyczne wnioski dla dalszych prób ekspansji na środowisko miejskie.

Niewątpliwie musi to być całkiem inny schemat organizacyjny tych ośrodków, inny — atrakcyjniejszy zasięg tematyczny wykładów oraz skład wykładowców o znanych nazwiskach i ustalonym autorytecie. Muszą znaleźć się na ów cel większe środki finansowe, bo trudno znaleźć wykładowców wysokiej klasy, którzy by chcieli pracować za honorarium w wysokości 30 zł za godzinę.

Procesy przemian politycznych, społecznych i gospodarczych w naszym kraju, rozmach w budownictwie nowego ustroju, przekształcanie się modelu gospodarczego i struktury administracyjnej państwa — wszystko to w sposób niemal automatyczny pociąga za sobą konieczność wychowania nowego człowieka, jednostkę światłą, rozumiejącą sens i istotę epokowych przeobrażeń, zdolną do podejmowania skutecznego wysiłku na miarę wielkich przeobrażeń.

Na te tych ogromnych zadań, rola uniwersytetów powszechnych jest jednoznaczna, a perspektywy ich dalszego rozwoju nie powinny być poddawane próbom alternatywnej, szekspirowej medytacji: być albo nie być?

STANISŁAW RAMS

**Julian Kawalec**

**SYN**  
OPOWIADANIE

**B**YLEM na uroczystości, w czasie której wręczono ci nagrodę za osiągnięcia naukowe w dziedzinie historii. Nagrodę taką otrzymywali zazwyczaj naukowcy. Podchodził do ciebie profesorowie, przedstawiciele władz i młodzież. aby ci złożyć gratulacje. Potem przemawiałeś tak jak to ty zwykle — słabym zrywnym głosem. Gdy już odwaliłeś to przemówienie, wszyscy zasiedli przy długim stole i wzięli do ręki kieliszki z winem. Pamiętam, że wtedy nachyliłeś się do mnie i powiedziałeś...

— Wiesz co sobie przypomniałem... siebie dziesięcioletniego. Brnę przez zieloną, niedojrzałą pszenicę, zbliżam się do matki, która zżyna sierpem wybujałe, zielone źdźbła i wrzuca je do przewieszzonej przez ramię, zgrzebnej płahty. Moja zgrabna, wysoka matka wyprostowała się i czekała aż podejść do niej blisko. Miała długą, ładną twarz. Jasno niebieskie, może za bardzo jasnoniebieskie oczy, a w nich odrobina zmęczenia. Mogę przysiąc, że wtedy było już w oczach i twarzy matki to przekleństwo zmęczenie, które ją uczyniło taką jaką jest teraz.

Wtedy na tym polu, na wiosnę 1927 roku, w roku, w którym wybujały pszenice, w dniu, w którym na polach wiał lekki wiatr, matka powiedziała mi — a jednak pójdziesz do tego gimnazjum. Wujek obiecał pomoc, myślę, że pomoże też stryj, wezmę pożyczkę i pójdziesz. Zdaje mi się, że po tych słowach matki, była dłuższa chwila milczenia. Matka czekała co ja na to powiem; ale ja nic nie odpowiedziałem. A potem znów odezwała się matka. Pamiętam dobrze co powiedziała. Tego nigdy nie zapomniłam i nie zapomnę. Ona wtedy powiedziała — ty nam to wszystko oddasz, jak się wyuczysz. Z czworga dzieci jako najstarszy zostałem do tego wybrany. Wykuliła się ta moja nominacja na gimnazjalistę z braków i narzekan rodziców a także narzekan odziedziczonych przez rodziców po tych wygodnie już spłaczonych grobach dziadkach i pradziadkach. Wykuliło się to także u matki, że ja będę tym pierwszym mścicielem za krzywdy pokoleń i już zaczęły być, gdy włoży na głowę okrągłą czapkę gimnazjalną. Ja to już wtedy rozumiałem, gdy widziałem suszące się na sznurze, między jabłonkami krótkie portki, uprane dla mnie na wyjazd do tego gimnazjum. Miałem jechać do Sandomierza, o którym słyszałem, że jest dużym miastem, po drugiej kieleckiej stronie Wisły i że jedzie się do niego przez duży most, którego się boi kobyła kasztanka.

Pod koniec sierpnia wstałem na wóz i zostałem zawieszony do tego Sandomierza, gdzie włożono mi na głowę okrągłą, granatową czapkę z małym daszkiem, a tym samym otrzymałem niemówiony nakaz — musisz zablansnąć i swoim blaskiem oprzemienić rodzinę żyjącą na wsi a także groby przodków znajdujące się na ładnym cmentarzu otoczonym brzożami; a także zlikwidować wszystkie braki w gospodarstwie i wszystkie długi zaciągnięte na twoją naukę. I tak się rozpoczęło moje wielkie przerażenie, które trwa do chwili obecnej.

Gdy się moją matkę wtedy widziało tak zmęczoną i chwytającą powietrze otwartymi ustami, to się mogło uwierzyć, że ona z tym workiem wdrapałaby się nawet na stromą ścianę, byleby tylko ten mały w krótkich portkach wyszedł z błotnistej wsi i dorównał ładnie ubranym i bogatym.

Gdy matka sprzedała na rynku pszenicę i dała mi otrzymałe za nią pieniądze wracała do domu. Schodziłem z nią z góry i odprowadzałem ją do wału po drugiej rzeszowskiej stronie Wisły. Tam całowałem ją w suchą, kościstą rękę i rozchodziłem się. Ale ja się odwracałem i patrzyłem jak się oddalają jej przykryte krzasiastą chustką plecy. Patrzyłem na nią długo, dopóki tylko mogłem ją rozpoznać jako moją matkę. Gdy odeszła daleko i stała się czymś nieokreślonym, czego w żaden sposób nie można było nazwać matką, biegłem szybko do miasta.

Dotknąłeś ustami winą i zgodnie z zapowiedzianą kolejnością zacząłeś opowiadać jak to było z tymi końmi twojego ojca na rynku w Sandomierzu.

— To była ta kasztanka z białym znakiem na czole i kara. Stały wozie na kociach łbach poniżej ratusza. Stały szczęśliwe, że stoją a nie idą; spod chomąt wystawały brudne, skrwawione ścierki. Odsunąłem chomąt i zobaczyłem, że mają rany. Ojciec powiedział mi, że zarobkuje przy wale, że wozł ziemię na wał i to z tego. Śmiać mi się chce, bo wiesz co się wtedy stało? Wtedy do ojca, matki, dziadka i babki dołączyły się konie z ranami, chudy pies, stara kura z odmrożoną nogą, kulawa gęś i to całe towarzystwo, ludzie, zwierzęta i ptaki zaczęły mi przypominać o moim dziejowym postępaniu; a ja miałem wtedy 11 albo 12 lat i jeszcze krótkie portki. Gdy ojciec wsiadał na wóz, czekałem, żeby jak najszybciej nastąpiło to pierwsze mocne zetknięcie chomąt z ranami

na przykład przed mostem, przejazdem kolejowym lub przed podniszczonym mostkiem na Łęgu; wtedy znów te chomąt poluźnia się na końskich karkach i odlepią od ran i wtedy znów na chwilę ochłona gorące rany; ale lepiej żeby nie ochłoneły, bo potem konie na nowo muszą przeżyć te cholerne szpilki bólu, nim się ból rozjedzie i usta li poniżej granic wytrzymałości, nim się na nowo przylepią do ran chomąt. Gdy ojciec mi nie już ten mostek na Łęgu i skręci w kierunku Sanu, to będą szanse, że ten ból już do samego domu będzie w tym swoim jednostajnym, możliwym do wytrzymania nasileniu.

Odniosłem wrażenie, że po tych słowach doznałem pewnej ulgi; widocznie na dobre przeniosłeś się w tę swoją gimnazjalną przeszłość. Znów dotknąłeś wargami winą i znów przywarłeś do mnie ramieniem, bo chciałeś mi opowiedzieć o śmierci twojego kolegi z V-tej klasy...

— Nie byłem wtedy nad Wisłą, gdy się on utopił; ale koleczy powiedział mi, że utonął, bo zabrakło mu sił i nie mógł dopynąć do piaszczystej wysepki na środku Wisły. Na drugi dzień klasa poszła do kostnicy, żeby go zobaczyć. Kostnica była czysta i biała. On ubrany na czarno leżał w trumnie a trumna stała na stole. Miał sińco-brązową twarz, która podobno nie wyglądała jak twarz umarłego.

wiedanie i lyknałeś odrobine winą, a potem usłyszałem twoje pytanie: — chcesz wiedzieć jak wypełniłem tę swoją dziejową misję — mówię...

— Powiniem zacząć wypełniać te swoje obowiązki wobec rodziców i rodzeństwa w roku 1939, bo w tym roku skończyłem studia. Ale wybuchła wojna.

Tego wieczoru nie dowiedziałem się wszystkiego. Doświadczyłem bowiem do nas ktoś trzeci: O tym jak teraz jest z tą twoją misją, mogłem się przekonać dopiero po kilku tygodniach, gdy pojechaliśmy tobą do twojej rodzinnej wsi. Jechaliśmy pociągami, po kilku godzinach wjechaliśmy na płaską, podmokłą równinę tarnobrzeską. Od stacji do twojej rodzinnej wsi zawiózł nas chłopski wóz. Furmani! twój brat, człowiek kępny i czerwony na twarzy, który bez przerwy, w sposób natrętny pokazywał nam nowe domy we wsiach, przez które przejeżdżaliśmy i mówił — wiesz się teraz buduje, ludzie robią w siece. Twój rodzic i brat mieszkali w małym, drewnianym domu, przykrytym popielatą dachówką. Przedtem — jak słyszałem — była na domu strzecha. W sadzie przywitała nas twoja matka, wysoka kobieta o bladej, zmarszczonej twarzy i jasno niebieskich oczach; była w nowym fartuchu i tureckiej chustce na głowie. Twój ojciec, mały, przykurczony chłopiec, z ciemnymi, jeszcze wąsami stał w drzwiach do

do niej przez pszenicę. Nie powiedział mi — nie depek pszenicy — bo chciała, żeby się zbliżył, bo się spieszyla i chciała mi powiedzieć o tym moim awansie i o moich obowiązkach. Na tym polu powiedziała mi — a jednak pójdziesz do tego gimnazjum; a po chwili — jak się wyuczysz to nam oddasz to, co na ciebie wyłożymy. To była ta dziejowa, włożona na moje dziesięcioletnie plecy misja, którą teraz powinienem wypełnić. I wypełniam. Udaję naiwnego i wypełniam. Udaję że nie rozumiem jak jestem śmieszny i wypełniam. Gdy jechaliśmy tu, wziąłem dla rodziców moją naukową ksiązkę i 500 złotych. Nie dałem matce jeszcze tych pieniędzy, ale ja dam i znów się ośmięszę. Bo wyobraź sobie: dałem starej matce 500 złotych, tej matce, która wspiwała się na sandomierską górę z workiem pszenicy. Matka bierze te pieniądze i ma żywo w oczach, bo jest wzruszona moją dobrocią; ale wiesz co może sobie pomyśleć w takiej chwili? Może pomyśleć, że młodszemu ode mnie o 20 lat synowi, który jest lekarzem, dał niedawno swojej matce kilka tysięcy złotych, choć ta jego matka nie wspiwała się na stromą górę z „cwiercią” pszenicy. Może w takiej chwili pomyśleć moja matka, że urodziła się za wcześnie i że ja też urodziłem się za wcześnie; bo dziś mogło być to moje gimnazjum i te moje studia bez wdrapywania się z workiem pszenicy na stromą górę, bez tych końskich ran i bez długów. Jest także zawiędzona, bo się nie może mną pochwalić jako kims na wsi wyjątkowym i zdziwioną bezskutecznością jej tamtego trudu.

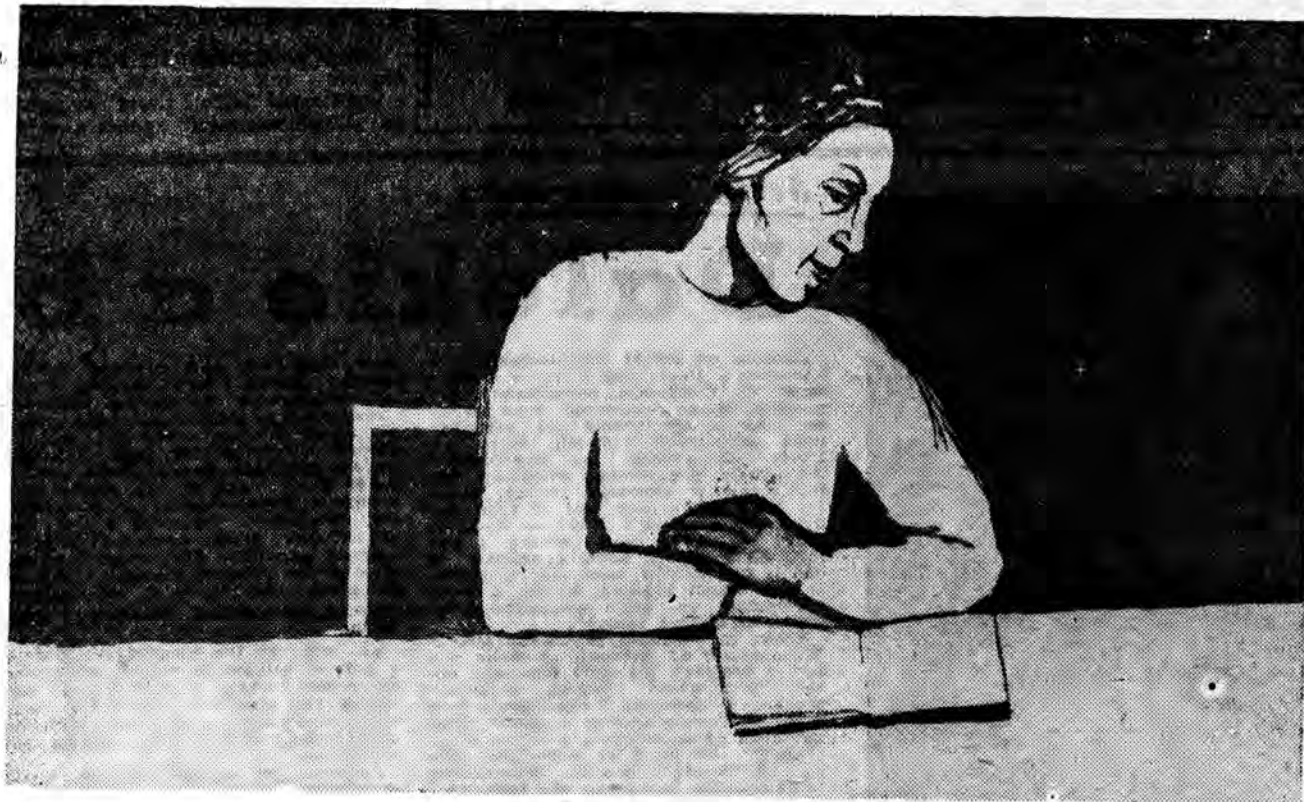
— Matka powie nieraz — dziś na wsi wszystkim jest lepiej. Jest w tym jej powiedzeniu uznanie dla współczesności, ale i pożałowanie siebie tamtej, zmęczonej i spoczęnej na sandomierskiej górze, pożałowanie tamtego jej zmęczenia, które — jak może sobie myśleć — na niewiele się zdało, jeśli ten syn tak spowieszniał. Matka chyba to

me zemsty za krzywdy pokoleń; ale równocześnie zdawało mi się, że ona wtedy zastanawiała się czy nie lepiej mści się za te krzywdy młody jej sąsiad, który co wieczór rzygnie z cegielni sto złotych zarobku i składa pieniążki na dom. Gdy odpowiadałem matce na to pytanie — czym ty jesteś synu? — to wydawało mi się, że ona nawraca do tego swojego trudu, tej wspinaczki na sandomierską górę z „cwiercią” pszenicy, a potem chyba zadawała sobie pytanie czy ja dziś mogłbym postawić dom. Jeśli jestem w stanie postawić dom, to ta wspinaczka nie poszła na marne. A jeśli ja nie zdołam postawić domu, to po co była ta wspinaczka. Dom, duży, murowany, z szerokimi oknami, z gankiem, kryty nie siwą, ale czerwoną dachówką taki dom i jeszcze do tego druciana siatka wokół sadu — to by wystarczyło na dowód. A ja naiwny chciałem udowodnić naukową ksiązką i tymi 500 złotymi, które im przywoziłem, że ta wspinaczka nie poszła na marne.

To mówiłeś do mnie, gdy wracaliśmy do naszego miasta i siedzieliśmy już w pociągu. Twój brat odjechał furą i siedzą sam na wozie, nie miał do kogo powiedzieć, że wiesz się teraz buduje; więc chyba sobie o tym myślał. Przypomniałem sobie, że twoja ksiązka rano, w tym dniu, w którym odjeżdżaliśmy ze wsi, leżała na oknie a na niej stał blaszany garniec.

I powiedziałeś: — Matka weźmie ją z tego okna, weźmie ją wtedy, gdy się zrobi ciemno, weźmie ksiązkę z okna, gdy nasz pociąg będzie w połowie drogi. Ojciec będzie już spał na małym łóżku, bo on idzie spać wraz z kurami a matka zrobi światło, włoży okulary i wtedy weźmie tę ksiązkę i będzie ją czytać; i wtedy się rozprawi z tą ksiązką. Ona ją sobie porówna z czym należy Zmarszczy czoło między brwiami i będzie sobie swobodnie porównywać. Ojciec będzie już chrapał a ona będzie porównywać tę ksiązkę z różnymi rzeczami i różnymi dniami. Będzie już bardzo ciemno i ojciec oknie się i przestraszy czy przypadkiem jasny dzień nie zastał go w łóżku, a później sobie wszystko przypomni i spyta się matki — co on napisał w tej ksiązce? Matka odpowie mu krótko śnij, później ci powiem; albo — napiś o dawnych czasach. W ten sposób utnie rozmowę z ojcem i będzie dalej patrzeć w tę swoją ksiązkę i dalej ją porównywać z tym, z czym należy porównać ksiązkę — z różnymi dniami, rzeczami, poczynaniami, które, gdy się razem zbierze, można nazwać słowem — życie. Późno już będzie, gdy przestanie czytać i położy ksiązkę w szufladzie obok młotka, obcęgow i raspłi.

Wtedy wstanie ojciec. Już wstał i patrzy przez okno. Cóż, dzień, gdy wstaje, najpierw patrzy przez okno. Potem się ubiera i wkłada te za duże buty z cholewami. On kupuje zawsze za duże buty. Chłop woli kupić za duże buty... Uważa, że tak lepiej, bo coś wie, bo go nauczyło i teraz jest mądry i kupuje buty za duże. Moje ojciec już wstał buty i wyszedł z domu. Idzie, czapie, spieszy się do obory, staje i chlewa, do krów, koni i świń, do świń, koni i krów; nie do czego innego, nie do czegoś niezwykłego, tylko do prostu do koni, świń i krów. Wypuści kury, bo to się robi najpierw. Wyrzuci gnój i dozna szczęścia na widok czystej stajni. Napoi krowy i konie i da im jeść, czyli dokona czynu nieklego, bo ta kim czynem jest nakarmienie zwierząt. Potem pójdzie sadem do wrót, obrze się o wrót i ponatry na pola. Zmruży oczy i wpatrzy się w pola, przeważnie zwichnem, nierzami i nogami i tymi szerokimi cholewami do wrót, rękami uchwyci końce strzachet, przyniesie się do wrót i będzie się przysiadł polom i wtedy będzie widział wszystko o ziemi. Nim wieś się zbudzi na dobre, gdy pocznie zbliżać się już do przedmieść naszego, dużego miasta, on już będzie widział wszystko...



rys. HELENA MAJEWSKA

na końskich karkach, żeby najszybciej minął ten moment najostrzejszego bólu; bo później gdy chomąt będą bez przerwy ugniatać rany, ból się ustali, przejdzie i przydusi, będzie bólem zlagodzonym, żlugotrwała koniecznością bólu. Pomyślałem sobie, że przy hamowaniu z góry znów odsunę się od ran chomąt, ale tego już nie będę widział, to może konie nie będzie tak boję; a gdy się skończy ulica Zamkowa i zaczniesz piękna, radwiślańska równina, to znów chomąt gwałtownie dotkną ran i wtedy bardzo zaboli; ale już później ten ból będzie przygiuszony i już tak ustalony; chyba, że coś się stanie i ojciec będzie musiał gwałtownie zatrzymać konie

na niego też jego rodzice stawali tak jak moi na mnie. Mogłem sądzić, że tak samo stawali, bo widziałem kilka razy jego ojca. Był podobny do mojego, był tylko trochę wyższy. Stawiali na niego a on utonął i uwolnił się od tego narzuconego mu przez rodziców postępania. Miałem wtedy 15 lat i rozumiałem to dobrze i ciążył mi bardzo ten nakaz, od którego uwolnił się już kolega leżący w kostnicy. Ale nie myśl, że miałem ochotę utonąć tak jak on i w ten sposób pozbyć się tego balastu myśli o obowiązkach wobec rodziny, które choć nie były przypominane przez rodziców i tak by się same narzuciły, które się powinny narzucić.

— Znów przerwałeś opo- mu i uśmiechał się. Wieczór piłismy gorące mleko i rozmawiałymy o polityce, a potem poszliśmy spać. Rano wyszedłem do sadu a ty zostałeś w domu. Gdy przyszedłem do mnie, zauważyłem, że z trudem starasz się zachować spokój. Powiedziałeś do mnie — chodź, pokażę ci to pole. Poszliśmy tam krętą, zygzakowaną ścieżką. Pole miało kształt prostokąta. Było zorane i zabronowane. Powiedziałeś — to odbyło się na tym polu. Wziąłeś mnie pod rękę i weszliśmy w miękką ziemię...

— W tym roku był tu owies, a teraz brat zorał i wsiął żyto. Ale wtedy, gdy matka mówiła mi, że pójść do gimnazjum, rosła na tym polu pszenica. Matka była na tym polu końca pola a ja brnąłem

rozumie, jak to jest teraz z tym moim postępaniem dziejowym, którym obarczyła mnie dziesięcioletniego w tej zielonej bujnej pszenicy w 1927 roku.

Twoje rozmowy z rodzicami i bratem odbywały się zwykle w kuchni.

Matka pytała cię — czym ty jesteś synu?.. A później opowiadałaś...

— Matka zadała mi to pytanie nie pierwszy raz. Zapytuje się o to przy każdej niemal okazji; albo zapomina, albo chce to moje stanowisko docenta lepiej zrozumieć i ustalić stopień jego znaczenia. Gdy odpowiadałem, że jestem docentem i uczę historii, odnosiłem wrażenie, że ona stanowisko to uważa za niezłą for-

# Nowy kwartalnik naukowy

W ostatnich latach daje się zauważyć w Polsce intensywny rozwój badań socjologicznych. Świadczą o tym nie tylko takie fakty, jak rozwój liczbowy katedr i zakładów socjologii na wyższych uczelniach czy działalność Instytutu Filozofii i Socjologii Polskiej Akademii Nauk, lecz przede wszystkim wzrastające

z każdym rokiem publikacje naukowe.

Wśród publikacji, które ukazały się w ostatnich dniach na rynku księgarskim, na szczególną uwagę zasługuje pierwszy numer kwartalnika pt. „Studia Socjologiczne”. Rozpoczynając wydawanie tego czasopisma Instytut Filozofii i Socjologii Polskiej Akademii Nauk i komitet redakcyjny zamierzają uczynić go „ośrodkiem integrującym całą opinię socjologiczną, skupiającym wysiłki ogółu socjologów polskich i reprezentującym pełny wachlarz stanowisk metodologicznych i zainteresowań badawczych”. Chcąc, „by w piśmie znalazły się zarówno rozprawy teoretyczne, jak doniesienia o prowadzonych badaniach, by mogło ono dostarczyć socjologicznej informacji o problemach społecznych i o rozwoju socjologii tak polskiej, jak i światowej”.

Zgodnie z tymi zamierzeniami komitet redakcyjny zamieścił w pierwszym numerze czasopisma szereg ciekawych artykułów.

Spośród nich na szczególną uwagę zasługują prace: S. Ossowskiego „Stanowiska i szkoły”, J. Hochfel-

da „Marksowska teoria klas — próba systematyzacji”, J. J. Wlata „Materializm historyczny, a warunki społeczeństwa socjalistycznego”, A. Pawelczyńskiej „O grupach młodych docilnych przestępców”, Z. Grostowskiego „Fluktuacje poczynności dzienników w latach 1956—1957 na Opolszczyźnie jako wskaźnik zainteresowań i preferencji wśród publiczności prasowej”, J. Kubina „Niektóre czynniki warunkujące skuteczność masowego oddziaływania” oraz M. Hirsowicza „Socjologiczna teoria państwa — trudności i szanse”. W numerze znalazły się również ciekawe „materiały” takie jak J. Janickiego „Z badań nad aspiracjami zawodowymi w Polsce w latach 1958—1959” i M. Dziewickiej „Stosunek chłopów — robotników do gospodarstwa rolnego”.

Przytoczone tytuły niektórych artykułów świadczą o rozległej tematyce pierwszego numeru „Studiów Socjologicznych”. Niewątpliwie wzbudzi on duże zainteresowanie tak wśród naukowców jak i działaczy politycznych i społecznych, którzy interesują się tymi problemami.

Franciszek Świdler

Stefan Winter — dyrektor Państwowego Teatru im. W. Sienkiewicza w Rzeszowie



rys. J. Sienkiewicz

## „Widnokrzg” odpowiada

Ob. Adam Sz. Dębica: Wiersze się nie udaly. „Oddech upiornych fal, całun wód, przystań serc, anielski blask oczu, girlanda światła — wszystkie te utwory są banalne i w złym smaku. W poezji trzeba koniecznie mieć coś własnego do powiedzenia.

S. C. Przemysł: Wiersz o Przemysiu mimo rymów, niewiele ma wspólnego z poezją, dlatego nie został przez nas wykorzystany. To po prostu informacja historyczno-geograficzna z domieszką patosu.

„Jasieńka” Tarnów: Z wierszy nie skorzystamy. Są one zbyt deklaracyjne, za mało osobiste. Stanowią zbiór sloganów czasem naiwnych, czasem pompatycznych. W formie — wiersze zbliżają się do „częstożłowskich”. Trzeba czytać dużo współczesnej poezji (Tuwim, Gałczyński, Rożewicz).

Młodziż bliżej życia — ale jakiego? I kto ją w to życie ma wprowadzać? Czy nie byłoby dostojnie pojmować się czasem ten postulat? Ośzczędzić sami. I tu nastąpi przypowieść.

Pewnego czasu (24. IX. br. o godz. 18.45) do wagonu szkolnego w pociągu z Rzeszowa do Jasny wsiedło kilku młodych podróżnych w asekuracyjnych humorach. W zbyt doskonałych jak na nasze warunki podróżowania. Nie ukrywali zresztą przyczyny swojego dobrego samopoczucia — butelka zaczęła od razu wykonywać dalsze okrążenia. Na protesty uczennic i uczniów — że to wagon szkolny, że pójdą po konduktora — przynajmniej odpowiedzieli z śmiechem „no to my was nauczymy”. I rzeczywiście. Najpierw był wykład z teorii. Frywolne piosenki o fizjologicznych czynnościach, dowcipy o fizjologicznych czynnościach i „taccina” o naprawdę niezwykłej soczystości. Możeście mi wierzyć, że to była mocna rzecz. Później nastąpiły ćwiczenia praktyczne. Uczennice z krzykiem wymykały się spod za-

sięgu przedsiębiorczych rąk „nauczycieli”.

Jeszcze w Rzeszowie na dworcu prosił konduktora, by usunął pijaków z wagonu szkolnego. Odpowiedział na to bardzo urzędowo: „W tym pociągu nie ma prawa być wagonu dla młodzieży...” — Jak

## Na wprost

### Edukacja niesentymalna

o nie ma prawa skoro jest — nudził ktoś tam dalej — i skoro korzysta z niegdy młodzieży z popołudniowych szkół rzeszowskich! Wtedy konduktor zdjął tablicę z napisem „wagon szkolny” — odwrócił ją na drugą stronę i odszedł z poczuciem spełnionego obowiązku. Później ze wstrętem ten wagon omijał.

To nie jest wypadek wyjątkowy. Młodzi, gniewni ludzie często bazują w wagonach szkolnych, ucząc dwunasto-

latków i czternastoletki realistycznego stosunku do życia. I tu czas na moralę z przypowieści.

Przepisy kolejowe powiada: „Do zajmowania miejsc w tych wagonach uprawniona jest młodzież szkolna i akademicka... oraz personel nauczycielski”. Nawet „osoby uczęszczające do szkół dla pracujących oraz na kursy nie mogą zajmować miejsc w tych wagonach”.

Czyżby więc konduktorzy i milicjanci kolejowi nie znali tych przepisów? Czyżby świadomie stosowali tę osobliwą pedagogikę „niech się uczyć życia z początku”? I pomyśleć, że szkoła biedzi się z problemem seksualnego uświadczenia młodzieży a tu zaledwie się to tak prosto.

Z ostatniej chwili. — W Jasie na dworcu zlikwidowano świetlicę dla dojeżdżającej młodzieży. Kolej jest więc konsekwentna w działalności „wychowawczej”. Pytamy co uczynił w tej sprawie Inspektorat Oświaty w Jasie?

jętgiel

## Zdarzenia tygodnia

Ostatnio na zaproszenie Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej i Wydziału Kultury Prez. WRN w Rzeszowie przebywali u nas: znany pisarz Jerzy Putrament, ceniony poeta Julian Przybóś oraz grupa członków zespołu redakcyjnego i współpracowników dwutygodnika kulturalnego „Współczesność”.

Wieczory autorskie Jerzego Putramenta, który gościł na Rzeszowszczyźnie po raz pierwszy, cieszyły się dużym zainteresowaniem. Na spotkanie z autorem „Września” i „Rzeczywistości” w Przemysiu, Przeworsku, Jasie, Gorlicach, Krośnie, Jarosławiu i Sanoku tłumnie przybyli wielbiciele jego twórczości.

Z brakiem frekwencji na wieczorach poetyckich nie spotkał się również Julian Przybóś. Miłośnicy poezji w Ropczycach, Sędziszowie, Piłźnie, Dębicy, Tarnobrzegu, Nowej Dębie, Mielsku i Rzeszowie bardzo serdecznie przyjęli urodzonego w Rzeszowskim Juliana Przybósia.

Mimo zbiegnięcia się w krótkim okresie tak licznych spotkań z wybitnymi ludźmi literatury, grupa „Współczesności” spotkała w 20

miejsowościach naszego województwa wielu czytelników tego pisma.

Inspektorat Szkolny wspólnie z rzeszowskim Oddziałem Związku Teatrów i Chórów Ludowych oraz Zakładowym Domem Kultury WSK ogłosił konkurs recytatorski na wykonanie utworów poetyckich lub prozaicznych, związanych tematycznie z Rewolucją Październikową.

Konkurs jest pewnego rodzaju eksperymentem, gdyż obejmuje po raz pierwszy młodzież starszych klas (V, VI i VII) szkół podstawowych.

Do eksperymentu zostali zaproszeni wyłącznie uczniowie szkół rzeszowskich.

Do publikacji o Rzeszowszczyźnie doszła nowa pozycja. Jest nią okolicznościowa broszura wydana na 600-lecie istnienia osady zwanej Miejsce Piastowe. Wydawnictwo to zawiera interesujące materiały źródłowe dotyczące dziejów wspomnianej miejscowości, omawia jej ogromny rozwój w ostatnich kilkunastu latach. Całość została przygotowana przez 5-osobowy zespół redakcyjny pod kierownictwem Kazimierza Boska. Nakład broszury wynosi 600 egzemplarzy.

(mg)



Haft uzbecki

Jerzy Pleśnarowicz

# Dalekie a bliskie

„Daleko od Polski leży Uzbekistan i Kazachstan. Długo jechać trzeba z Warszawy do Taszkentu, Samarkandy, Alma-Aty, długo wędrować z nad wiaty do rzek o egzotycznie dla polskiego ucha brzmiących nazwach takich jak Irtysz i Zaruwzan, jak Syr-Daria i Amu-Daria. Ale pomimo odległości, mimo różnic w obyczajach, języku, historii, jakie dzieli nasz kraj od tych obu azjatyckich republik Związku Radzieckiego — między ziemią polską, a ziemią Kazachską i Uzbeką istniały od dawna nici więzów kulturalnych. Istniały — dzięki ludziom, którzy przewagrowawszy te kraje wrażenia swoje umieli przekazać innym”.

Słowa te pochodzą ze wstępu Moniki Warnerskiej do antologii „Polskim piórem o krainach Białego i Czarnego złota”, która wśród licznych publikacji wydanych staraniem Towarzystwa Przyjaciół Polsko-Radzieckiej z okazji rocznicy „Dni Republiki środkowo-azjatyckiej” zasługuje na szczególną uwagę. Opracowaniu bowiem Warnerskiej zawdzięczamy przypomnienie tych utworów naszych pisarzy, które dowodzą, że zarówno przeszłość historyczna jak i teraźniejszość ziem środkowo-azjatyckich znalazła trwałe odbicie w literaturze polskiej.

W ub. stuleciu do Azji Środkowej przybywali Polacy nie jako turyści lub uczeni, ale — jako skazani przez rząd carski za działalność rewolucyjną i niepodległościową więźniowie polityczni. Dlatego też antologię Warnerskiej otwierają „Listy ze stepów kirgizskich” (w XIX wieku Kazachów nazywano jeszcze Kirgizami), pisane przez Adolfa Januszkiewicza, filomata, koleżkę Mickiewicza. Januszkiewicz, który od 1833 roku przebywał w Insymnie, odbył szereg wędrownych wzdłuż i wszerz stepów kazachskich, zgromadził cenne materiały geograficzne i etnograficzne. Pobyt zaś w Insymnie umożliwił mu bliższe poznanie romantyka Gustawa Zielińskiego przy czym tenże, od powstania poematu „Kirgiz”, wyjątkowo ciekawego zjawiska w naszej literaturze XIX wieku.

Gustaw Zieliński (1809—1881) syn pułkownika z czasów insurekcji kościuszkowskiej, uczestnik powstania listopadowego, został w roku 1833 za utrzymywanie kontaktów z ruchem wolnościowym aresztowany i wywieziony na Syberię. W Insymnie poznał Zieliński

życie Kazachów, tam również napisał poematy „Kirgiz i step”, łączące w sobie romantyczną konwencję poetycką z realizmem w traktowaniu krajobrazu. Osnuły na motywach tragicznej miłości młodego Kirgiza do córki jego największego wroga, bogatego właściciela aulu — utworzył Zielińskiego w XIX wieku dorównywał popularnością „Wiesławowi” czy „Grażynie”. Świadcza o tym entuzjastyczne głosy ówczesnej krytyki i przede wszystkim fakt, że obok kilkunastu wydań polskich doczekał się „Kirgiz” przekładów rosyjskich, niemieckich, czeskich, francuskich, włoskich i angielskich.

Kto wie, czy ten niegdyś tak głośny, a później całkowiec niemal zapomniany utwor naszemu romantyka nie powinien zainteresować kogoś z amatorów teatrów poezji jako naprawdę odkrywczo i wartościowo pozycja repertuarowa.

Po drodze jak w XIX wieku, wielu czytelników i słuchaczy odnajdzie w utworze Zielińskiego z jednej strony barwność egzotycznego tła, z drugiej strony zaś w postaci „syna stepów”, odnajdzie wyraz dążeń do wolności i swobody, do walki z niesprawiedliwością w obronie praw człowieka.

Od czasów, które opisywał na kartach swoich romantycznych poematów Gustaw Zieliński, dokonały się w Azji Środkowej wielkie przeobrażenia. Rewolucja Październikowa przyniosła narodowi środkowemu Azji wyzwolenie z ucisku narodowego i klasowego, wprowadziła je z zacofania gospodarczego i kulturalnego na drogi prowadzące do wielkich osiągnięć we wszystkich dziedzinach życia gospodarczego, społecznego i kulturalnego. Nowe, rewolucyjne oblicze radzieckich republik środkowo-azjatyckich przedstawia napisana w latach międzywojennych powieść Bruno Jasińskiego „Człowiek zmienia skórę”. Jeśli czytelnik antologii Warnerskiej zaciekawiony fragmentem powieści autora „Słowa o Jakubie Szeli” zechce zapoznać się z całością, ułatwi mu to tegoroczne wydanie „Człowieka” w tłumaczeniu Jerzego Brzeczowskiego. Poczując zważać może być lektura książki Jasińskiego w zestawieniu z reportażami

dziennikarzy zagranicznych o podobnej tematyce jak „Azja odmieńiona” Ego-na Erwina Kischka, czy Juliusza Fuczka „W kraju, gdzie jutro jest już dnem wczorajszym”.

W okresie II wojny światowej złączyły się z Kazachstanem i Uzbekistanem losy wielu polskich uchodźców, wśród których nie zabrakło poetów. Ich utwory, rozproszone dotychczas w czasopiśmie i dawnym wycechanych zbiorach, przypomina w trafnym ukladzie antologia Warnerskiej. Znajdziemy tu więc wiersze Włodzimierza Stobodnika, Leopolda Lewina, Jana Huszcy i Arnolda Śliwickiego. Mają one charakter kartek z notatnika lirycznego, w którym często dochodzi do głosu tęsknota za ziemią ojczystą.

Charakterystyczne, że jeśli przed dwudziestu laty o Kazachstanie i Uzbekistanie pisali przede wszystkim nasi lirycy i pamiętnikarze, to obecnie najwięcej do powiedzenia o tych krajach mają przedstawiciele reportażu i szkicu dziennikarskiego. Książki Józefa Heny („Skromny chłopiec w haremie” — „Iskry”, 1957), Stefana Koźłickiego („Sputnik na co dzień” — „Iskry”, 1961), czy Andrzeja Bińkowskiego („Podróż za rzekę Amu” — MON, 1960), ukazują nam niezwykłe, fascynujące przeobrażenia ludzi i krajobrazów.

Kraje, które w przeszłości wydały takich uczonych jak Awincenna (Ibn Sin) i Al Fergani, takich poetów jak Aliszir Nawoi, głoszący w epoce rządów fanatyków muzułmańskich hasła tolerancji i humanizmu — znowu zajmują przodujące w świecie pozycje. Radzieckie republiki Azji Środkowej — to tysiące hektarów stepu zamienionego w zoraone i zasiane nowizny, to zbiory bawelny przekraczające wszystkie wskaźniki jej produkcji, to zifanyczny przemysł eksplloatujący ukryte dotąd bogactwa tej ziemi. Błyskawicznym rozwojem gospodarczym towarzyszy wspaniale osiągnięcia w dziedzinie oświaty, literatury, sztuki. O tym wszystkim mówią żywo i ciekawie książki naszych pisarzy; ukazując przeszłość, dzień dzisiejszy i dalsze perspektywy rozwojowe Kazachstanu i Uzbekistanu.